Lektion der Stille



Jan Darowski

Do smutniejszych odkryć mojego żywota zaliczam odkrycie “Quo vadis?” w języku angielskim. Było to jeszcze w czasach sprzed książki z filmu, już nie pamiętam nazwiska tłumacza. Pamiętam natomiast, że w przekładzie tym pobite zostały aż dwa rekordy: rekord nieznajomości języka polskiego i rekord nieudolności w języku angielskim. Jeśli do tego dodamy kilka drobnych szczegółów, takich jak to, że tłumaczenie powyższe ukazało się

nakładem jednej z najpoważniejszych firm wydawniczych w Anglii, specjalizującej się w klasykach wszystkich krajów i to, że na obwolucie książki jak byk wypisane było, iż mamy do czynienia z „ni mniej ni więcej”, tylko arcydziełem literatury polskiej, to już chyba mamy gotowy obraz literatury w umyśle angielskiego czytelnika. Od tego czasu ta przygoda powtórzyła mi się kilkakrotnie. Lecz jak mówią starożytni, ten kto dobrze leży, najlepszym będzie stoikiem.

Nie jest tajemnicą, że książki polskie tłumaczy się na język angielski nie z oryginału, a z jakiegoś innego tłumaczenia, zazwyczaj francuskiego. Nie było by w tym szczególnego powodu do zmartwienia, gdyby nie to, że na język francuski tłumaczą nas nie paryżanie, a Francuzi warszawscy. Trudno potem spodziewać się, że w języku angielskim wskrzeszony zostanie żywy głos autora polskiego, któremu poderżnięto gardło w języku francuskim.

Gdyby czytelnikowi angielskiemu zaofiarowano przekład na wyżej wspomnianym poziomie, na przykład z Prousta czy Manna, tłumacza wykończyliby natychmiast recenzenci. Ilu zaś recenzentów angielskich podniesie, gdy jest w stanie podnieść, głos w obronie autora polskiego? Ani jeden, gdyż ani jeden nie może sprawdzić rzeczy w oryginale. Dobre wychowanie i wrodzona ostrożność każą im rzecz raczej przemilczeć, bo „a nuż widelec”. Tak książka wychodzi na rynek, lecz nie dociera do

czytelnika, który jak wiadomo rzadko ma swoje gusta i albo czyta na chybił trafił, albo na rekomendacje fachowców. A za nią książka następna i następna, aż gdzieś księgowi wykażą, że to wszystko ginie w próżni i naraża firmę na straty. Zimne poty wychodzą mi na czoło, gdy pomyślę w jakim stopniu książka polska w tym kraju zależna jest już nie tylko od talentu, ale wręcz ludzkiej uczciwości tłumacza. To też, gdy ci zatrąbią, Drogi Czytelniku, że taka a taka powieść polska, ukazała się w przekładach, na tyle a tyle języków, nie żenuj się a zapytaj, w przekładach czyich i z jakiego języka? A gdy dowiesz się, że w odległej Japonii książka polska jest bestsellerem, pomyśl tylko, czy nie dlatego, że zrobiono tam z niej szmirę.

Literaturze polskiej za granicą przeszkadza nie tylko jej spóźnienie dziejowe i jej prowincjonalizm (dobry prowincjonalizm też może mieć swój urok dla kosmopolity – vide, wyłączając Ibsena, literatura skandynawska pięćdziesiąt lat temu) lecz też, i to głównie nasz kompleks niższości, który każe nam stać w kącie z urażoną dumą i czekać, aby obcy do nas pierwsi podeszli. A obcy nie podejdą, bo oni też mają swoje kompleksy. I tak skazani jesteśmy na tłumaczenie siebie samych, co zazwyczaj zaczyna się i kończy upartym twierdzeniem, że literatura polska nie ustępuje żadnej.

Lecz dobra kulturalne, jak każde inne dobra tego świata trzeba sprzedawać umiejętnie bez fałszywego wstydu i z iście kupiecką

dalekowzrocznością. To jest eksport. Panowie, to jak jajka, bekon, konfitury, i na to nie ma rady. Ale szlachetce, który mieszka w duszy polskiego inteligenta, wstydno parać się handlem. On w wiechciach stoi równy królom.

Mówi się zwykle, że nie mamy szczęścia w ogóle, a szczęścia do tłumaczy w szczególności. Powiedzmy sobie od razu: my po prostu nie mamy tłumaczy. Niech mi ktoś wymieni Francuza, albo Anglika, który jest czymś więcej jak szprotką we własnych wodach, a może tłumaczyć z języka polskiego. Tymczasem St. Perse'a wprowadził do języka angielskiego nikt inny jak Eliot. Zgodzimy się chyba, że ułatwiłoby to sprawę nowoczesnej poezji polskiej, gdyby tłumaczyć ją mogli Ted Hughes albo Philip Larkin.

W obecnej sytuacji literatura polska nie może liczyć na takie ułatwienia. Nam trzeba najpierw tłumacza sobie stworzyć, hodować pieczołowicie, a potem ozłacać. Jak się to robi? Parę lat temu przedstawiono mnie pewnemu Anglikowi, „scoutowi" jednej z firm wydawniczych, który, widocznie zmylony moim entuzjazmem do Gogola, wziął mnie za Rosjanina i zaproponował mi, abym tłumaczył coś z literatury rosyjskiej, „preferably post-Gorki". „W tym są niezłe grosze", zapewniał mnie gorąco. A na moje pytanie, czy z prawej kieszeni czy z lewej, powiedział krótko: "Może być z obu". Czegóż prócz z wysoce hipotetycznej wdzięczności narodu polskiego może spodziewać się tłumacz

autorów polskich. A tu trzeba żyć, ślęczeć, dziatki żywić i wedle wzoru: Wer den Dichter will verstehen muss nach Dichter's Lande gehen, podróżować nieco. Przedtem jeszcze trzeba nauczyć się polskiego języka. Lecz gdzie? School of Slavonic Studies? Wolne żarty. Język polski jest tak trudny, nawet dla nieprzeciętnego Anglika, że żadne ambicje akademickie nie wystarczą mu, jako zachęta do głębszego niż po łebkach poznania tej dziwnej plątaniny spółgłosek. Na to potrzebne są bodźce żywe w rodzaju cyganerii studenckiej, dziewczyny, perspektywy kariery. Niechaj tylko uczelnie polskie ufundują stypendia dla Anglosasów, stypendia nie z literatury polskiej albo historii sztuki, a z medycyny, inżynierii itd., a w przeciągu następnego ćwierćwiecza przestaniemy być białą plamą na mapie kulturalnej świata. Zaś przekłady z języka polskiego posypią się jak z rękawa. I to przekłady niewymuszone, nie kupione gdzieś w ciemnej bramie, a wynikające z wewnętrznego zapotrzebowania tłumaczy i być może, jako podświadoma spłata długów wdzięczności. W następnych dwu dekadach ilość kandydatów na miejsca uniwersyteckie w Anglii więcej niż dwukrotnie będzie przewyższała ilość miejsc. Czy ktoś w kraju pomyślał już o wykorzystaniu tej sytuacji? Wątpię. Prawdopodobnie patrzy się na to pod kątem bardziej doraźnie zrozumiałych interesów narodowych. Boć Antka trzeba też gdzieś podszkolić, aby zasilał szeregi Wielkich Niezrozumianych. Tymczasem w tejże Anglii, gdzie tysiące młodzieży nie ma szans dostania się na wyższe uczelnie, uczelnie te same rezerwują

tysiące wolnych miejsc dla studentów zagranicznych. Oni to będą tłumaczyli literaturę angielską na swoje języki i narzecza, otwierając przy tym rynki zbytu i sfery wpływów. Powie ktoś, że Polska jest zbyt biedna na to, aby szkolić obcokrajowców kosztem młodzieży polskiej. Polska jest zbyt biedna na to, aby ich nie szkolić.

Tymczasem my nadal wierzymy, że pomoże nam kategoryczny imperatyw ludzi, którzy nie wiedzą na pewno, jakiego kraju Polska jest stolicą i być może, że wiedzą iż wiele naszych wielkości nie wytrzyma zmierzenia się z obcymi, boimy się prawdziwego tłumacza. Jeśli tak jest, to szkoda, bo liryka polska ostatnich paru lat i sporo przedwojennej na prawdę jest na poziomie. Przewyższa to, co w tym czasie napisano w Anglii i wytrzymuje porównania z liryką amerykańską. Czytelnik i literat anglosaski, nic o tym nie wiedzą, a te fragmenty, które do nich dochodzą traktowane są prędzej jako curioza z uciemiężonego kraju, niż odsetki jakiegoś większego kapitału, a gdy dowiedzą się prawdy, to znowuż będzie za późno.

Wyjątek pod tym względem będą stanowiły Niemcy i dzięki Karlowi Dedeciusowi, którego „Lektion der Stille", antologia nowoczesnej liryki polskiej, jest wydarzeniem pierwszej klasy w historii przekładów z języka polskiego. O Dedeciusu wiem tylko, że urodził się w Polsce i że pracował nad nową antologią liryki polskiej, zakrojoną na większą skalę. Jedno jest pewne, w

Dedeciusu poezja polska znalazła tłumacza na miarę Boya albo Moncrieffa w prozie francuskiej. Nie wiem, jak mu tam nasza ojczyzna pomagała, bo ona woli brać niż dawać, ale szkodą nie do naprawienia byłoby zaprzepaszczenie jego talentu lub zmarnowanie jego dobrej woli w ten czy inny sposób. Mówię to, bo my tu nad Tamizą też mamy swoją „Lekcję ciszy", ale lekcja idzie osobno, cisza osobno.

Recenzja ukazała się w „Kontynentach" nr 43-44 pod redakcją Floriana Śmieji w Londynie w 1962 roku. Posłał ją Dedeciusowi. On w jednym z listów napisał:

> Panu Darowskiemu proszę przekazać specjalny ukłon ode mnie: artykuł jego o tłumaczeniach – nie tylko ze względu na naturalnie miłą dla mnie laudatio, ile ze względu na ogólną ilustrację problemu i związane z nim wnioski – uważam za bardzo dobrze napisany i, jeśli wolno mi się tak wyrazić, mądry.